

FALSZYWE BLASKI

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

Odznaczona na Warszawskim Konkursie Dramatycznym 1876 r.

O S O B Y:

ŁUBIN.

LEONORA, jego żona.

FILIP.

KSAWERY.

JANOWA.

Salonik skromnie umeblowany. W głębi i po bokach drzwi.

Z prawej okno.

SCENA PIERWSZA.

(Leonora siedzi przy stoliku i maluje kwiaty na wachlarzu. Przed nią rozrzucone pędzelki, farby, wachlarze, pudełka).

LEONORA (po chwili odrzucając pędzelek): Nie! już dalej nie mogę! W oczach mi się mąci, głowa pęka... Powietrza! powietrza! (otwiera okno). Już piąta! on dotąd nie wraca... o, ta samotność jest okropną tęsknota mię pożera.. (wraca do stolika, przyglądając się wachlarzowi). Co warta robota w roztargnieniu?.. te kwiatki ułożone są bez najmniejszego gustu, jakieś blade, zwiędłe, zamarłe... jak moje... marzenia... ba, jak wszystkie podobno marzenia, zamienione w rzeczywistość!... Znow napad melancholii, precz, z nią, precz! (siada do pracy). Trzeba trochę ożywić ten bukiet... (maluje — wchodzi Janowa).

SCENA DRUGA.

LEONORA, JANOWA.

JANOWA: Niechże też pani rzuci do licha te szkaradne pędzlistka! Od ósmej rano do piątej o filiżance herbaty i wciąż przy robocie, to... z przeproszeniem, waryactwo. Ot,

lepiejbyś robaczku, przeszła się cokolwiek, odetchnęła świeżem powietrzem... Robota nie zając, nie ucieknę, i tak więcej nad obstalunek, ślesz jej gołąbko do sklepów.

LEONORA: Chętniebym pobiegła, bo taka cudna pogoda... lecz mąż nadejść może, a wiecie, że nie lubi, gdy wychodzę bez niego.

JANOWA: Nie lubi! więc gdzie go szukać? czemu nie przyjdzie po panią, jeno lata samopas? Oj, oj, żeby on był moim!...

LEONORA: No, no, nie gniewajcie się, już pójde, pójde... Podajcie kapelusz. (Janowa podaje). Sama czuję, że przechadzka mię orzeźwi... i rozweseli może... A panu powiedzcie, że wrócę niezadługo, pamiętajcie.

JANOWA: Powiem, powiem, niechno już pani tylko idzie... A możebyś co zjadła pierwej, turkaweczko... rosołku trochę?

LEONORA: Nie, nie; — do widzenia (odchodzi głębią).

SCENA TRZECIA.

JANOWA później ŁUBIN.

JANOWA (składając wachlarze, pędzelki i farby w szufladę): Niebożátko pocziwe, jak to się troska, by go nie rozgniewać... Oj, lepszej ona warta doli, lepszej... ale tak zawdy bywa, kiedy kto na fantazyę bierze, nie na rozum. Wybrała też sobie gagatka, wybrała!... (spogląda na zegar). O! np. i teraz, już w pół do szóstej, obiad gotów od trzech godzin, chłopaki czekają od południa, pieczeń wyschła na wiór, a jego jak nie masz, tak nie masz! Skaranie Boże

z takim gospodarstwem! (wchodzi głębią Łubin). Proszę pana, trzeba już raz jaki koniec zrobić z temi chłopakami, codziennie siedzą mi na karku.

ŁUBIN: Z jakimi chłopakami?

JANOWA: Ano, onemi z redakcyi.

ŁUBIN: Aha, już wiem... to dziś czwartek... po artykuł, zaraz, zaraz dam, tylko dokończę. (Janowa odchodzi na prawo).

SCENA CZWARTA.

ŁUBIN potem FILIP.

ŁUBIN sam: Bolek mnie zagadał... (wyjmuje z kieszeni długi pasek papieru, do połowy zapisany). Artykuł wstępny: „O sztuce“. Co to za dowcipna bestya ten Bolek, a jaką moc pochłania czarnej kawy, to niech go piorun trzaśnie! (siada do pisania) „Prąd materyalizmu coraz szerzej rozlewający się po Europie, całkowicie wygnał z niej sztukę!“ (mówi) Bander wścieka się tam pewno za opóźnienie... ja tu sobie łeb smażę a on zagarnia pieniądze i jeszcze mi wytrząsa! bodaj to być wydawcą! (pisze) „Opuszczona córka bogów, wróciła do swej niebieskiej ojczyzny, za całą zemstę unosząc z sobą skarby uczuć, któremi, wzamian za oddawane sobie hołdy, darzyła śmiertelnych!“ (mówi) Bolek rozwodził się dziś nad uciechami bogaczów. Gdybym kiedybądź dochrapał się fortuny, powiada — nosiłbym buty z panieńskiej skórki, dla wygody. Sypiał na materacach, wypchanych sumieniami krytyków, dla elastyczności, i ani się tknął roboty!... (pisze) „Heroizm, poświęcenie, miłość, twórczość, wiara, fantazyja,

z nią razem opuścili ziemię, (mówi) z tą córą bogów. Ja znów folgowałbym podniebieniu; naprzód na śniadanie... (wchodzi Filip).

FILIP: Witaj, zacny kuzynie Łubinie!

ŁUBIN: Filip w Warszawie! a ty z kąd?

FILIP: Babcia wyprawiła mię do was na parę tygodni, bym się trochę obtarł, ucywilizował na wielkim świecie.

ŁUBIN: Jeśliś przywiózł dużo pieniędzy, pomogę ci... puścić je wesoło.

FILIP: Zgoda! Ja tak łaknę zabawy, hulanek, kobiet, a nadewszysko miłości!

ŁUBIN: Daj go katu! miłości! A toż przecie na wsi o afekt najłatwiej, sama natura skłania do sentymentów, a panny prowincjonalne słyną z romantyzmu.

FILIP: Na nieszczęście w sąsiedztwie nie znajduje się nic odpowiedniego. Musisz ty mnie tu poznać.

ŁUBIN: Ja? ależ ja prawie nigdzie nie bywam.

FILIP: A toż co za zmiana?

ŁUBIN: Ożeniłem się.

FILIP: Ty? a to kiedy?

ŁUBIN: Od pół roku.

FILIP: I nic nie doniosłeś?

ŁUBIN: Rzecz stała się w tajemnicy — okoliczności były wyjątkowe.

FILIP: Ah, mów, mów, przepadam za wyjątkowymi okolicznościami!

ŁUBIN: Pokochałem mężatkę.

FILIP (z oburzeniem): Oh!

ŁUBIN: I rozłączyłem z mężem.

FILIP: Zburzyłeś spokój rodziny! to niegodnie!

ŁUBIN: W pojęciu motłochu, zapewne. Lecz my, czoło inteligencji, jednostki wyższe, posiadamy odrębną moralność. Sumienie powszechne nie jest naszym sumieniem. Wedle nas, miłość usprawiedliwia wszystko. Naszym kodeksem: uczucie.

FILIP: A uczciwość? honor? zaufanie męża?

ŁUBIN: Tam gdzie odezwie się namiętność, milkną wszystkie te względziki, niby beczenie cieląt i osłów wobec ryku lwa.

FILIP: A opinia?

ŁUBIN: Opinia? ha, ha, ha! paradny! kopalne chłopię! troska o języki! Gdzieś ty się chował, Filipku, gdzie? A wiesz ty, co to jest opinia?

FILIP: No, opinia jest to... jest to... opinia!

ŁUBIN: Ja ci powiem. Opinia jest to o pewnym przedmiocie sąd jednego głupca, pomnożony przez tysiąc sądów, tysiąca innych głupców; tem się gardzi. Któż zaś ze stanowiska bezwzględnego potępić zdoła kobietę, która za najwyższy zakon uznała miłość? Wiarołomna żona może być najszczytniejszą kochanką.

FILIP (ze zdumieniem): Doprawdy? a to wygodnie! to wygodnie! Lecz po coś ty się z nią ożenił, bo podobno to inaczej kończą się zwykle te rzeczy?

ŁUBIN: Ona żądała, gdyż mnie tam wszystko jedno; ja zawsze ożenek uważałem jako ustępstwo dla plebsu. Harmonia dusz, to według mnie ślub prawdziwy.

FILIP: Tyś bo zawsze był niezwykłym człowiekiem. To też babcia, lubująca się niezmiennie w twoich poezjach, kazała słuchać cię we wszystkim.

ŁUBIN: A ileśmy przecierpieć, jakie przebywali sceny! Bo trzeba ci wiedzieć, że mąż szalenie ją kochał.

FILIP: A mój Boże!

ŁUBIN: I szalenie był zazdrosny. Szpiegował nas, tropił.

FILIP: Więc nie od razu mu wyznałeś, że się kochasz w jego żonie?

ŁUBIN: A to na co? Dopiero przydybany i to nawet nie ja, lecz ona.

FILIP: Ona!

ŁUBIN: O, bo co to za kobieta!

FILIP: Zgaduję... gorąca, namiętna, wulkaniczna!

ŁUBIN: Nie, ale serdecznie czuła i głęboko wrażliwa. Przytem trochę artystka, maluje...

FILIP: Zatem sentymentalna, egzaltowana.

ŁUBIN (z westchnieniem): Aha, marzycielka, egzaltowana do zbytku.

FILIP: Śliczne zalety.

ŁUBIN: W kochance — ale nie w żonie. Ona także pochodzi z partykularza.

FILIP: Ah, à propos partykularza, zapomniałem ci powiedzieć, że przybyła tu z naszych stron deputacja w interesie szkół rzemieślniczych, wybiera się z prośbą do ciebie.

JANOWA (wchodzi Janowa z prawej): Proszę pana, chłopaki klną na czym świat stoi, wołają, że głodni i nie chcą czekać dłużej.

ŁUBIN: To niech idą do wszystkich dyabłów! Powiedzcie, że artykuły sam poodnoszę za kwadrans. Tymczasem podajcie tu co bądź, bo i mnie się jeść chce straszliwie. Ale, a gdzie pani?

JANOWA: Wyszła, cały ranek była bardzo smutna, wciąż pracowała (odchodzi).

FILIP: Smutna?

ŁUBIN: Czasem przytrafia mi się dłużej zabawić na mieście, zagadam się, to ją gniewa. Kobiety są tak niewyrozumiałe i wymagające.

FILIP: Może ona nie nawykła do samotności?

ŁUBIN: Co prawda, mój poprzednik mąż Numer pierwszy, rozpieścił ją mocno pod tym względem. Był to facet ściśle pilnujący się obowiązków, sumienny, słowny, zgoła posiadający wszystkie cnoty „bürgerskie“. Wróciwszy z biura, poświęcał się całej na usługi swej lepszej połowy. Wodził ją po spacerach, czytywał głośno, bawił się z córką, dozwalał robić z siebie kozła i barana.

FILIP: Dlaczegoż opuściła męża tak ze wszech miar dogodnego?

ŁUBIN: Zbadaj serce niewieście. Ośm lat stałej pogody małżeńskiej uprzykrzyły się; zapragnęła burz, walk, niebezpieczeństw, nowości. Śmiałość moich poglądów, żywość usposobienia, oczarowały ją odrazu, co spostrzegłszy, pojmujesz, że nie skąpiłem dyalektyki i zabiegów. Poezye moje dokonały reszty. Dość, że po kilku miesiącach znajomości, całkowicie zawładnąłem jej sercem i kompletnie...

FILIP (kończąc): I kompletnie przewróciłeś w głowie.

ŁUBIN: Cóż chcesz, podobala mi się.

FILIP: A on?

ŁUBIN: Filister? Długo czas nie domyślał się niczego, jak przystało na wzorowego męża. Skoro przejrzał, już było zapóźno, kochaliśmy się ogieńście i żadna moc ludzka nie zdołałaby nas rozerwać. Zabronił mi bywać, kobieta zrozpaczona, stęskniona, wyznała, że bezemnie istnieć nie może, i zażądała rozwodu, opuściła dom. Mąż szalał z rozpacz.

FILIP: Jak babcię kocham, jakie to dramatyczne! Cóż dalej?

ŁUBIN: Przez kilka miesięcy u nóg jej dziękowałem za ofiarę; pełnemi usty czerpaliśmy nektar boski.

FILIP: Ah, jakże ci zazdroszczę! Ja tak pragnę się zakochać... a na wsi jest tylko garderobiana babci, Jagusia, ładna dziewczyna, ale tak zadurzona w gorzelnym, że ani do niej przystąpić. W dodatku jestem do kobiet okropnie nieśmiały.

ŁUBIN: Strzeż się, nic gorszego! Widocznie brak wprawy!

FILIP: Wszyscy drwią z mojej nieśmiałości, to mię już zniecierpliwiło, ah! Powiedz, co kobieta lubi? co jej najbardziej podoba się w mężczyźnie?

ŁUBIN (ze śmiechem): Ha, ha, jakżeś ty naiwny! To zależy...

FILIP: Ależ przecie...

ŁUBIN: Przedewszystkiem to, czego nie posiada sama.

FILIP: To jest?

ŁUBIN: Na czym zbywa jej samej.

FILIP: Czyli?

(Głębia wchodzi Leonora w pasterskim kapeluszu z bukietem w ręku).

SCENA PIĄTA.

LEONORA, FILIP, ŁUBIN.

ŁUBIN: Ah! witam moją panią Jakże sielankowo, niby tęskna Chloe... brak jedynie baranka na różowej wstążeczce.

LEONORA: Jesteś w domu! (podając bukiet). Dla ciebie.

FILIP (do Łubina): Jak babcię kocham, nic równie uroczego nie widziałem w życiu!

ŁUBIN (do żony): Dzięki (wskazując Filipa). Mój bracieczek cioteczny, przybyły z głębokiej prowincji, celem zahipotekowania tu swojego serca.

FILIP (ciągnąc go za połę): Dajże pokój.

ŁUBIN: Gdzież tak długo bawiłaś, niepomna mojej tęsknoty i... apetytu?

LEONORA: Pobiegłam do parku łązienkowskiego, by popatrzeć na niebo, kwiaty, posłuchać ptaków, odetchnąć naturą.

FILIP (na stronie): Śliczna! na czym jej też zbywa?
(Janowa wnosi obiad).

ŁUBIN: Sama? wiesz, że tego nie lubię (siada do sto-

lika, lecz zamiast jeść, kończy zaczęty artykuł). Czy nie posilis się, Filipie? (pisze).

FILIP: Dziękuję.

LEONORA: Niech pan porzuci etykietę — wszakżeśmy krewni.

FILIP (zająkliwie): W takim razie... niechaj mi będzie wolno... w inny sposób skorzystać z powinowactwa... Pani lubi spacerować... ja przybyłem własnymi końmi... może więc... przyjęlibyście powóz odemnie...

LEONORA: Z przyjemnością. U ciotki, o milkę ztąd umieściłam przed tygodniem moją córeczkę, radabym ją uściskać.

FILIP: Biegnę wydać polecenie. (na stronie) Ona nie posiada powozu, a ja go mam! ale to pewno nie to!...

ŁUBIN (wstając): Słuchajno Filipku, ty znasz Bandera redaktora, oddaj mu po drodze ten artykuł i dołóż parę przychylnych słów o moim talencie, to mnie podniesie w jego oczach, zwłaszcza, skoro cię ujrzy powozem.

FILIP (czyta): „O sztuce“ (mówi). Ah, sztuki piękne to moja namietność!

LEONORA (uprzejmie): Doprawdy? któreż mianowicie, muzyka, poezja?

FILIP: O, to jest... nie koniecznie piękne... choćby tylko przystojne... ah, przepraszam, tak jestem roztargniony! (na stronie) Zakochałem się.

ŁUBIN: No spiesz, spiesz.

FILIP: Biegnę.

(wychodzi głębia).

SCENA SZÓSTA.

ŁUBIN, LEONORA.

LEONORA: Zobaczę Ewunię!.. Uprzejmy chłopiec ten twój kuzynek...

ŁUBIN (jedząc): Czy nie ma nic innego prócz tej twardej pieczeni?

LEONORA: Rosół i jarzynka.

ŁUBIN: Dziękuję (je).

LEONORA: Co za woń w ogrodzie! wszystkie bzy w rozkwicie; aż mi lżej zrobiło się na duszy.

ŁUBIN: To skała nie pieczeń!.. Ten twój pasterski kapelusz wygląda zbyt romantycznie.

LEONORA: Jakoś w nieszczęśliwym wróciłeś humorem...

ŁUBIN: Bo ten niecny księgarz ze Lwowa, do którego miałem tak ważny interes, wyjechał o trzeciej, nie zobaczywszy się ze mną.

LEONORA: Miałeś być na kolei...

ŁUBIN: Miałem, naturalnie, ale się zagadał w cukierni i godzina przeszła... Ehl bo to twoja wina!

LEONORA: Moja?

ŁUBIN: Wiecznie przy wyjściu macisz mi w głowie różnemi głupstwami, to redakcją, obiadem... Nie, twardość tej pieczeni da się porównać jedynie z twardością dyamentu. Już dwa zęby złamałem. Wiesz, że ta twoja suknia bynajmniej nie należy do najmodniejszych; dziś w Saskim ogro-

dzie spotkałem złotowłosą Florę, artystkę z Eldorado, należało widzieć z jakim wdziękiem była ubrana!... Czy nie ma sałaty? Kompocik byłby mi nierównie pożądanjszy, niż ten pęk kwiecica, zebrany na łące... (uprzejmie) jakkolwiek twojami rączkami.

LEONORA: Na jutro rozporządzę lepszy obiad, dziś zapomniałam, stęskniona za dzieckiem, za tobą. Teraz tak rzadko jesteśmy razem.

ŁUBIN (wstaje od stołu): Niepojęte wymagania! Do trzeciej, wiesz przecie, pracuję w redakcji, potem zaś...

LEONORA: To też o to *potem* chodzi mi właśnie. Dawniej jużśmy się nie rozłączali. Tyś mi czytywał ulubionych autorów, deklamował własne utwory. Niekiedy pisałeś, jam wówczas cichuteńko siedziała z robotą, następnie bawiliśmy się z Ewunią, chodzili słuchać muzyki do teatru, lub za miasto przyglądać się zachodowi słońca, gwiazdom... i byliśmy tak szczęśliwi!

ŁUBIN (poziewa): Aaaa! tak, byliśmy bardzo szczęśliwi!.. Dzięki tobie, mój aniele (całuje jej rękę).

LEONORA: I twojej miłości. O, bo ja, wychowana na wsi przez ojca niezwykle muzykalnego, rozkołysana melodyą i pięknosciami natury, wczytana w arcydzieła poezji, od najmłodszych lat przywykłam do czci i uwielbienia dla ludzi talentu. Poznać którego z nich, stało się najgorętszym mojem pragnieniem... Gdy więc potem, zagrzeźlej w prozie codziennego życia, zadźwięczała poetyczna nuta, wymarzona w młodości, gdy przystąpił do mnie młody wieszcz o greckim profilu...

ŁUBIN (grożąc jej): No no, ty artystko!

LEONORA: Z pieśnią na ustach, natchnieniem w oku i rzekł: „ja cię wprowadzę do tej niebieskiej ojczyzny, kędy brzmi hymn wiecznej miłości... jam kapłan tej świątnicy sztuki, do której od tak dawna tęsknisz potajemnie! pójdź ze mną!“ Spojrzał... i wnet swą tęskną żrenicą moje zmysły a pieściwemi tony duszę przykuł do siebie. Łaknąca ideału uwierzyłam mu i...

ŁUBIN: I oto jesteśmy razem. (tuli jej głowę do swych piersi).

LEONORA: O Henryku, nie każ mi żałować tej świętej w ciebie wiary!

ŁUBIN: Dziecko, nie bądź tylko zbyt wymagającą. Człowiekiem jestem, więc pełnym wad i słabości... jedno tylko przyrzec mogę, że nigdy kochać cię nie przestanę, nigdy! (całuje jej dłonie).

(wchodzi Filip).

SCENA SIÓDMA.

FILIP: Wracam z artykułem. Numer już złożony; Bander wścieka się na ciebie ze złości, powiada, żeś niedbały, niesłowny, że cię w redakcji ani poświecić...

ŁUBIN (przerywa): I tam dalej i tam dalej.

FILIP: Nakoniec, że jeśli myślisz i nadal podobne robić mu zawody, to lepiejbyś uczynił... uczynił...

ŁUBIN: No wyduś! to lepiejbym uczynił, całkiem przestając pisać dla niego... tak też i postąpię!

FILIP: Tego nie powiedział.

ŁUBIN: Ale dał do zrozumienia... gbur, kanalia, pasozyt! gadać takie brednie przed obcym, na to już trzeba być... wydawcą, Natychmiast napiszę mu, co o nim myślę i zerwę pierwszy (siada do pisania).

LEONORA: Zastanów się... wszak tym sposobem pozbawieni zostaniemy stałej pensyi, a już i tak...

ŁUBIN: Mniejsza z tem, moja ambicya tego wymaga. (woła) Janowa!.. (głośniej) Janowa!! (ze złością) Janowa!!!

LEONORA (zaglądając przez drzwi z prawej): Niema nikogo, znać wyszła.

ŁUBIN (podając list Filipowi): Zmiłuj się, oddaj ten list posłańcowi, tylko prędko, natychmiast.

LEONORA: Zastanów się, to z twojej winy...

ŁUBIN: Ah! kazanie! Filipku drogi, prędzej, prędzej! (Filip odchodzi głębią).

SCENA ÓSMA.

ŁUBIN, LEONORA.

LEONORA: Co teraz poczniemy?

ŁUBIN: Hal.. mógłbym przyjąć zdawna ofiarowaną mi tygodniową kronikę w Pszczole, lecz to także terminowa robota, a wszelka terminowa praca jest nad wyraz wstrętną mojej naturze. Duch mój nie znosi przymusu, chce bujać wolny, swobodny, niby ptak w przestworzu.

LEONORA: Z czego żyć będziemy?

ŁUBIN: Mam nadzieję, że ukończę za parę tygodni mój poemat p. t. „Zapoznana dusza“ tymczasem musimy się

nieco ograniczyć — a naprzód odpędzić tę niezdolną babę Janową, nieużyteczną już a swarliwą.

LEONORA: Janową! Ależ to moja opiekunka, po śmierci matki ona mnie wychowała, a teraz wypiaستowała Ewunię. Prócz mnie, nie posiada nikogo na świecie... gdzież znajdzie przytułek!

ŁUBIN: W Dobroczynności. Drzeć pierze, to najwłaściwsze dla niej zajęcie.

LEONORA: Rozłączonej z mężem, oddała cały swój drobny fundusik, zanim zarobek znaleźć mogłam.

ŁUBIN: To go zwrócimy.

LEONORA: A przywiązanie, poświęcenie, czem zapłacisz?

ŁUBIN: Subtelności kobiece!

LEONORA: Twardego serca, kto ich nierozumie. Nie poznaję ciebie!

ŁUBIN: Na honor, ta literatura już mi bokiem wylazi! Prócz szczypty kadzidła a mnóstwa cierni i piołunów, cóż ona daje? Wezmę się do łokcia, hebla, dratwy a nie tknę więcej bibuły!

LEONORA: Tego ci czynić nie wolno. Talent, to nie tylko dar nieba... on podobnie jak niegdyś szlachectwo, obowiązuje.

ŁUBIN: Zapewne, wszakże gdy żyć trzeba z niego, niema twardszego rzemiosła. Porzucę!

LEONORA: Dla Boga, zatem żadnego zamiłowania, stałych przekonań żadnych!

ŁUBIN: Ba! cóż stałego na świecie? Cały firmament wiruje bez ustanku.

LEONORA: Pierwiej jednak utrzymywałeś inaczej.

ŁUBIN: Że planety nie wirują?

LEONORA: Kazałeś wierzyć w wyższość dusz twórczych, w ich posłannictwo!

ŁUBIN: I dziś powtarzam to samo, ale wyższe czy nie, jeść potrzebują. Leno, dziecko moje, tyś nadto egzaltowałeś.. Gdzie ja teraz ten artykuł wkręcę? (odchodzi, zwolna deklamując).

O jasnowłosa córo Heliosa,
Gdy w twą świetlaną spozieram twarz...

(Znika w głębi).

SCENA DZIEWIĄTA.

LEONORA potem JANOWA.

LEONORA sama): Cóż więc jest prawdą a co fałszem w tym człowieku?... co maską a co naturalnem obliczem?.. nie śmiem wyrokować jeszcze! Doprawdy, lękam się wierzyć oczom, uszom. przeczuciu, rzeczywistości!.. lękam się, bo gdybym uwierzyła, byłby to cios nad siły!

(wchodzi Janowa, z ostróżną oglądając się).

JANOWA (zciszonym głosem): Pani... paniusiu... czyś paniusia sama?

LEONORA: Ah, czego chcecie Janowa?

JANOWA: Wyjrzyjno pani oknem, prędko, prędko.

LEONORA (nie ruszając się z miejsca): Cóż tam?

JANOWA (przy oknie): Już przeszedł.

LEONORA: Kto?

JANOWA: Pan.

LEONORA: Co za pan?

JANOWA: Nasz pan, ten dawny, pierwszy.

LEONORA: Ah!

JANOWA (tajemniczo): Bo to coś się stać musiało... pan od tygodnia już się tak snuje koło okien.

LEONORA: Widać tędy droga mu wypada.

JANOWA: Ej nie, mnie się widzi, że radby tu przyjść, jeno się stracha. Biedne panisko, takie teraz chodzi oswiałe... a włosy to mu tak zbielewały!

LEONORA: Prosiłam was...

JANOWA: Żeby o nim ani dychu — wiem, wiem, ja też szal... jeno stróżka z tamtej kamienicy, powiadała mi...

LEONORA: (przerywa). Moja Janowa...

JANOWA: No, no, mój robaczku, już ani pisnę... chociaż Bogiem a prawdą, co to za różnica między onemi mężami!... Ten, bez chyby, wielki mądrała, gębę ma wyszlifowaną, językiem miele niby pyłem w młynie, ale za to tamten, choć w gębie nie taki majster, żył przystojniej.

LEONORA: Cóż ten robi złego?

JANOWA: Nic nie robi, to właśnie, roboty się wstręci, próżniak, sobek.

LEONORA: (smutno). Znać lubi swobodę.

JANOWA: Eh, moja stokrotko, ze swobodą to jak z łokciami przy stole, nie można się zbyt rozpościerać, bo zaraz sąsiadowi zbraknie miejsca. Niby to ja nie widzę, co się

święcił! Ty, złotko, po całych dniach pracujesz, on się wałęsa, a żydki coraz bardziejjesze!

LEONORA. Dość już, dość na Boga! Czy myślicie, że ja tego wszystkiego nie spostrzegam? Ja umyślnie odwracam wzrok, wysilam dowcip, by go usprawiedliwić, uniewinnić przed sobą. Bo każda jego wada to pchnięcie noża w to serce!... Nie znam sroższego bólu nad zawód!

JANOWA: Przebaczenie, paniusiu, przebaczenie... toż ja nie z umysłu...

LEONORA: Wiem, wiem, lecz nie róbcie tego więcej, proszę was, błagam... Janowa! (odchodzi na prawo).

SCENA DZIESIĄTA.

JANOWA potem FILIP.

JANOWA (sama): Nigdy, już nigdy — jak pragnę Boga przy skonaniu!... chociaż mi ciężko się powstrzymać, o jak ciężko! bo mi na jego widok wątroba się wzdyma!... znowu!.. oj, Janowa, Janowa, zestarzeliście się okrutnie, język was świerzbi a uhamować go nie możecie, lepiejby wam zamilknąć na zawsze, bo już na nic dobrego nikomu się nie przydadcie.

(wchodzi głębią Filip).

FILIP (n. s.): To pewno Janowa (głośno). Jak się ma pani Janowa?

JANOWA (ustawia na stoliku z prawej): Do usług, kieby groch przy drodze.

FILIP (n. s.): Mógłbym od niej dowiedzieć się, co kobiety lubią najbardziej, lecz ona pewno już zapomniała. (głośno) Pan w domu?

JANOWA: Pewnikiem — ale w swoim; tu go jak na lekarstwo.

FILIP: Janowa zna panią?

JANOWA: Niedawno, wprzódym na boży świat wyjrzała. Służyłam u jej rodziców.

FILIP: Powiedzieć mi tedy...

JANOWA: Nic nie powiem, bo i tak zawsze wypapłę za wiele — później jeno pani się gniewa.

FILIP: Alboż wasza pani umie się gniewać?.. taka słodka, taka łagodna, ona musi być jak anioł, musi lubić jedynie... jedynie... no cóż?... nic nie mówicie? (Janowa głową potrząsa). Powiedzieć przecie, co lubi?

JANOWA. Niby z jadła czy napitku? Et, ona istny wróbelek, dziubnie parę razy i jużci syta.

FILIP: Ale nie z jadła ani napitku, tylko tak... w ogóle.., no, rozumiecie?

JANOWA: Aha, niby tak... to miłuje męża terazniejszego, chociaż czort wie za co.

FILIP: A oprócz męża?

JANOWA: Ano, dziecko.

FILIP (na stronie): To już ma, (głośno) a potem?

JANOWA: Niby mnie, książki, kwiaty.

FILIP: Aha, kwiaty — a dalej?

JANOWA: Wieś, muzykę.

FILIP: Cóż jeszcze?

JANOWA: Jeszcze? eh, już chyba dość.

FILIP: Ale jeszcze, przypomnijcie sobie.

JANOWA: Nie mogę... A do czego to panu?

FILIP: Tak sobie, z ciekawości.

JANOWA: Aha, już wiem.

FILIP (żywo): Cóż, coś?

JANOWA: U rodziców lubiła zawdy... pierogi z jagodami.

FILIP: Eh, wy myślicie o jedzeniu jedynie.

JANOWA: No, teraz już wiem — i to ją zgubiło. Lubi wiersze.

FILIP: Jeszcze nie to, poszukajcie.

JANOWA: Bodaj łeb ukręć, ani w ząb.

FILIP (na stronie): Baba ciemiega (głośno). Z jakiegoż powodu porzuciła pierwszego męża?

JANOWA: Anioła, panie, coby jej krwi własnej nie poskąpił.

FILIP: A poszła za...

JANOWA: Za tego pismaka, bo... bo... z przeproszeniem (ciszej) cielątko. Bo się nie zna na ludziach. Ten ją zoczył na balu i nuż pleść androny, nuż tumanić gładkimi słówkami, a ona, niby turkawka, pieszczot łakoma. Jedynąstwą było to w domu, więcemy wszyscy chuchali, dmuchali... a wiadomo, że czem skorupka nasiąknie za młodu... już pan rozumie?

FILIP (uradowany): Rozumiem, rozumiem!... O moja Janowa, jakżem wam wdzięczny! Przyjmijcie to... (kładzie jej w rękę pieniądze).

JANOWA: Na orzechy — dziękuję (wybiega głębią).

FILIP: Zatem pieszczot żądał o aniele!
(wchodzi z prawej Leonora).

LEONORA: Czy męża niema jeszcze?
(Głębią wchodzi Łubin).

SCENA JEDENASTA.

LEONORA, FILIP.

FILIP (do Łubina): Twoją odpowiedź sam wręczyłem Banderowi, ani chce słyszeć o rozstaniu się z tobą. A wna-grodę przysła ci tę książeczkę, do której wedle twego żądania, dodatkowo wydrukować kazał dedykację, jak się domyślam, dla żony. O, proszę pani... (podaje Eleonorze książkę) „Do mego Bóstwa“.

LEONORA (bierze książkę): Twoje poezye... ależ one nie były dedykowane nikomu...

ŁUBIN (zmięszany): Pozwól... (chce odebrać książkę).

FILIP: To też do jednego tylko egzemplarza, dodrukowano tę ćwiarteczkę... na upominek dla pani.

LEONORA (czyta).

„Sztuka ducha mego wraz z twoim jednoczy,
„Lecz natchnienia mi czarne dostarczyły oczy,
„Składając więc kapłance ofiarę, wyznaje,
„Że mi nad wszystkie sztuki, milszą się wydaje“!

ŁUBIN (kilkakrotnie usiłował odebrać książkę). Pozwól... pozwól... liche wiersze... daj...

LEONORA (do męża): Dla kogo ta książka, dla kogo?

FILIP: Ah, ale pani ma przecie oczy niebieskie, nie zaś czarne!

ŁUBIN: To... to... (cicho do Filipa). O przekłety, coś ty narobił!

LEONORA: Mów... komu ta dedykacja?...

ŁUBIN (coraz więcej zmięszany): To... to... dla jednej z naszych artystek...

LEONORA: Po co, w jakim celu?

ŁUBIN (jąkając): Wiadomo ci, że oddałem do teatru mój dramcik... obecnie będący już w nauce... otóż... owóż... wypadało poznać się bliżej z aktorką... celem... celem przestudystowania roli... a w konsekwencji oddać należny hołd talentowi.

FILIP: Nie pomijając wdzięków.

ŁUBIN: Oto powód dedykacji, jak widzisz skleconej na prędcę, bez sensu...

LEONORA: Dla czego tałeś przedemną?

ŁUBIN: Pragnąłem zrobić ci niespodziankę, od razu przynosząc czerwony alisz.

FILIP: Kiedyż pierwsze przedstawienie?

ŁUBIN (ciszej): Milcz.

LEONORA: Dziwnem mi się to wydaje...

ŁUBIN: Drobnostka, nie warta tyle hałasu. Autorowie muszą porozumiewać się z aktorami, to konieczne. Byłem na pierwszej próbie... przyznać należy, że u nas grać umieją!... No, Leno, dziecko moje... a, jaka nadąsana... może zazdrośna... może zazdrośna... fil... taka buzia nie powinna obawiać

się konkurencyi... no, proszę się uspokoić... Leno droga, daj łapkę na zgodę, rozchmurz śliczne czoło... (całuje jej ręce) i oddaj ten tomik... (Lena, uważnie patrząc mężowi w oczy, po pewnem wachaniu, oddaje). Tak, to grzecznie, to rozumnie... a ty Fipku, pójdz do mnie, przeczytam ci mój nowy poemat.

FILIP: Zaraz, zaraz, tylko odeślę konie, bo dziś nie jadły obiadu! (odchodzi głębią — Łubin na lewo).

SCENA DWUNASTA.

LEONORA potem JANOWA.

LEONORA (sama): Miałżeby mnie już zdradzać?... nie, niepodobna... (z gorzką ironią) to jeszcze zawcześnie!

(Janowa wchodzi z prawej).

JANOWA: Pachciarz z Petrykoz przywiózł ten papier, pewnie z wieścią od naszego dzieciątka.

LEONORA (otwiera): „Najdroższa mateńko“! (mówi) Ah, dziecko moje najmilsze! (całuje list z uniesieniem). Pierwsze pismo tego aniołka! patrzcie, patrzcie...

JANOWA: Od Ewuni! o kanarek! cóż ona tam robi, ptaszynka?

LEONORA (przebiegając list): Tęskni, chce wrócić...

JANOWA: Sierotka! (sposstrzegłszy się wybiega).

LEONORA (drgnęła na ten wyraz). Ah!.., sierota!.. tak, prawdęś rzekła! I jam to ją osierociła!.. pozbawiłam ojca i stałam się matką wyrodną!.. Wydałam z domu, bo on powiedział, że mu szczebiot dziecka przeszkadza w pracy...

Zaślepiona, własnymi jedynie zajęta przyjemnościami, zapomniałam o tobie, zachwiałam całą twoją przyszłość! Oh! z jakimże ja teraz rumieńcem stanę przed tobą o córko, i czym usprawiedliwić zdołam mój postęp, moją zbrodnię!
(wchodzi Łubin).

SCENA TRZYNASTA.

LEONORA, ŁUBIN później FILIP.

ŁUBIN: Filip nie wrócił jeszcze?

LEONORA (zajęta listem): Patrz! (podsuwa list).

ŁUBIN (spoglądając): Cóż to za kulfony?

LEONORA (oburzona): Pismo Ewuni... o drogie literki! (całuje list).

ŁUBIN: Nie lubię dzieci; nudzą mnie:
(wchodzi głębią Filip).

FILIP: Idzie tu właśnie owa deputacya, o której ci wspominałem.

ŁUBIN: Ah!

FILIP: Rejent, podsędek i dwóch obywateli wstąpili tylko do handelku, by nieco odwilżyć gardła, zaschłe od kurzu warszawskiego. Za chwilę przybędą.

LEONORA: O cóż chodzi?

FILIP: Zamierzają założyć u nas szkołę rzemieślniczą dla chłopców i dziewcząt, a że dotąd nie zebrano potrzebnego funduszu, więc pragną zapomocą odczytów dopełnić...

ŁUBIN: Aha, zatem odczytów chce im się odemnie?

FILIP: Pochodzisz z tamtych stron... przytem bliżutętko, ośmnaście milek, przysłał konie.

ŁUBIN: Kawał drogi! zadaleko.

LEONORA: Ja łączę się z deputacyą; zdolnych rzemieślników dotkliwy brak w kraju.

ŁUBIN (do Filipa): Udać się do kogo innego. Utylizm nie moja rzecz. Jam piewca.

LEONORA: Niemniej przeto obywatelem swojego kraju.

ŁUBIN: Więc cóż ztąd? Jestże to powód, bym na podobieństwo jakiego spleśniałego mója płótna rozdziawionej tłuszczy ambaje o jakichś tam komórkach, atomach, kręgosłupach, ozonie, wodorze i t. p. pospolitościach! Poety inne jest zadanie... po nad ziemią myśl jego ulata, wszechświat jego ojczyzną, braćmi duchy nieśmiertelne, księgą gwiazdy, zajęciem rozpamiętywanie Boga w Jego tworach.

LEONORA: Jaktóż toż niedawno... (n. s.) komedyant!

FILIP: No, rozumie się, że przy tak wysokich zatrudnieniach, szkoła rzemieślnicza wydaje ci się marnością nad marnościami.

ŁUBIN: Poety nie mierzcie zwykłą ludzką stopą: pożytkiem. Między ludźmi, jak w państwie zwierząt i woły robocze i orły się mieszczą... komuż wiadomy cel istnienia orła?..

FILIP: Więc piejże sobie zdrów i sam rozprawiaj się z nimi (chce odejść).

ŁUBIN: Ani myślę, powiedz, że mnie niema w domu.
(Filip odchodzi).

O jasno włosy
Córo Heljosa (znika z lewej).

SCENA CZTERNASTA.

LEONORA potem JANOWA.

LEONORA: Co się dzieje ze mną... I cóżem ja pokochała w tym człowieku, co?... Potok szumnych frazesów i bujne krucze włosy przy bladym licu! o wstydziel... Szlachetności, charakteru w nim ani cienia, a cóż wart człowiek bez charakteru?... nic — gorzej niż nic, bo obdarzony wpływem, kierujący opinią, to zbrodniarz prawie... ileż on obłąka umysłów, ile spaczy sumień!... I jam go pokochała! i dla niego porzuciłam męża, dom, dziecko, czyste imię! Ah, nie wiem, płakać mam czy uragać własnej głupocie... (śmieje się z bolesną ironią) ha, ha, ha!... Równasz się z orłem, udajesz natchnionego wieszczą, jak gdyby jedynie gładki rym stanowił poetę... Brak ci duszy podniosłej, a bez niej każdy z was to tylko pajac, zabawiający gawiedź, zręczny kuglarz, nic więcej.

(wbiega Janowa mocno zmięszana).

JANOWA: Pani, pani!

LEONORA: Cóż tam?

JANOWA: A co, nie zgadłam? przyszedł!

LEONORA: Kto?

JANOWA: Pan — pan Ksawery.

LEONORA: Co! co!

JANOWA: Chce się z panią widzieć...

LEONORA: Ależ to niepodobna... ja... ja... nie mogę, nie powinienam.

JANOWA: Ma bardzo ważny interes.

LEONORA: Boże!... mąż jest w domu.

JANOWA: Et, pewno śpi (zagląda przez dziurkę od klucza). A jużci, leży na sofie, z papierosem w zębach.

LEONORA: Nie mogę.

JANOWA: Toż na chwilę, interes ma ważny.

LEONORA: Ha... więc prosz. (Janowa odchodzi). Nogi drżą podemną.

(wchodzi Ksawery).

SCENA PIĘTNASTA.

LEONORA, KSAWERY.

(mocno zmięszani i zakłopotani obydwójce. Ksawery próbował parę razy przemówić i zawsze wyrazy zamarły na ustach Leonora z niepokojem ogląda się na pokój męża, nieśmiało wskazując krzesło. Ksawery usiadł).

LEONORA (po długiej pauzie): Nasze schody... schody tutejsze, męczą ogromnie...

KSAWERY: W istocie (milczenie — ogląda się).

LEONORA: Pan szuka czego?

KSAWERY: Upatruję wody.

LEONORA (szybko powstając): Oto jest. (Ksawery bierze od niej szklankę drżącą ręką). Czyś pan słaby?... Zbladłeś strasznie!

KSAWERY: Chwilowe strudzenie... to przejdzie.
(siadają — znów milczenie).

LEONORA (po pauzie): Pan...

KSAWERY: Ja tu z prośbą.

LEONORA: O mów pan, mów!

KSAWERY: Wybieram się w podróż.

LEONORA: Dokąd? na długo?

KSAWERY: Na lat kilka, może dłużej.

LEONORA: Co! co! ależ pan się zatęsknił! Pan tak wyjątkowo przywiązany do swojej ziemi! Cóż powodem?

KSAWERY (z ciężkiem westchnieniem): Oh!... (po pauzie). Jadę na wschód w interesie kolei żelaznych. Mój dyrektor szukał ochotnika, oświadczyłem się z gotowością.

LEONORA: Dlaczego?

KSAWERY: Ha, cóż robić!... Gdziebądź, byle dokołać do końca... Lecz ja mam prośbę do pani.

LEONORA: O, słucham.

KSAWERY (dobywając z kieszeni dużą kopertę zapieczętowaną). Pragnąłbym zobaczyć Ewunię.

LEONORA: Ah, na nieszczęście wysłałam ją na parę tygodni na wieś do ciotki.

KSAWERY: Więc jej już nie zobaczę... Wyjeżdżam jutro.

LEONORA: Jutro!

KSAWERY: Owóż prośba moja taka: Ewuni pora zacząć nauki...

LEONORA: Żebyś pan wiedział, jak ona już pisze! Oto list od niej.

KSAWERY (chwytając podany papier): List! o córko moja! (całując list ze wzruszeniem). List do matki.

LEONORA: Ojca kochać nie zapomniała, przeczytaj pan...

KSAWERY (szybko przebiega pismo rozrzucony): Daruj mi pani tę ćwiarteczkę... na pamiątkę... Oddałam się na długo, może na zawsze, może już was... (poprawia się) już jej nie zobaczę nigdy... nigdy!.. (usiłuje stłumić wzruszenie). Dziecko moje ukochane!.. (przyciska do ust pismo) żegnaj jedyne serce na świecie... moje! (odwrócony od Leonory, ociera łzę ukradkiem).

LEONORA (ze współczuciem): Panie...

KSAWERY (chowając list Ewuni z wysileniem). Chwilowe wzruszenie... niespodzianka... ten list... to przejdzie... (po pewnem uspokojeniu się). Owóż, pora nauk Ewuni nadchodzi... pragnąłbym, by otrzymała ukształcenie gruntowne, specjalne, któreby zapewniało utrzymanie... nie chcę bowiem by i ona, jak większość naszych kobiet, wyszła za mąż dla chleba. Ślubować należy z miłości, lub nie łączyć się wcale... (silniej). Nieprawdaż pani? wszak podzielasz moje przekonanie? (groźniej) bo inaczej zawiele sobie i komuś przyczynia się cierpień... zawodów... rozpaczyl... dowód na nas.

LEONORA. To zniewaga! jam przecie nie dla chleba żoną twoją została!

KSAWERY: To już między Bogiem a panią!... Lecz ja nie przyszedłem tu z wyrzutami... daruj, myślałem, że spokojniejszy... (po chwili). Owóż, w tym pugilaresie znajduje się potrzebna summa na jej edukację oraz utrzymanie — racz pani przyjąć!...

LEONORA (odsuwając pugilares). Jej utrzymanie należy do mnie.

KSAWERY: Pani nie posiadasz własnego majątku

(z uniesieniem) a ja nie chcę, słyszysz pani, nie chcę, żeby moje dziecko przyjmowało cobądź od obcego człowieka! Sądzę, że mam prawo żądać tego i żądam.

LEONORA: Oh!

KSAWERY: Tu mieści się trzy tysiące rubli, otrzymane tytułem honorarjum za wyjazd.

LEONORA: Więc pan się zaprzedałeś!... Ten wyjazd, to twoja niewola!

KSAWERY: Ale niezależność dla mojej córki.

LEONORA: To za wielkie poświęcenie!

KSAWERY: To powinność ojca względem dziecka. Zresztą znalazłaby się może inna jeszcze przyczyna.

LEONORA (z goryczą): Zgaduję — by jak najdalej odsunąć się odemnie.

KSAWERY: To już przy mnie pozostanie. Lecz od biegamy od przedmiotu. Oto nominacya na posadę po mnie dla... pana Łubina.

LEONORA: Jaktó! co?

KRAWESY: O ile przypominam sobie, nie posiada stałej pensyi... Ponieważ zaś dyrektor zdał na mnie wybór zastępcy, zatem...

LEONORA: Nie możemy przyjąć tej ofiary!

KSAWERY: Ofiara żadna. Wyjeżdżam, a któbądź zajmie opuszczone przezemnie miejsce, pan Józef, Antoni czy... Łubin, to mi obojętne.

LEONORA: Pan mnie zabijasz swoją szlachetnością.

KSAWERY (wstając). Przypomnij mię pani niekiedy Ewuni i... żegnaj (kłania się i chce odejść).

LEONORA (zrywając się): W ten sposób!... o nie!... Wszak pan mi przebaczyłeś!... wszak rozstaliśmy się zgodnie!

KSAWERY: Ja też nie czynię pani żadnych wymówek.

LEONORA: O, nie myśl pan, że jestem szczęśliwą.

KSAWERY (z uniesieniem). Jaktó! nie!... (hamując się). To znów winno zostać tajemnicą pani. Żegnam.

LEONORA (urazona). Słuszna uwaga, dziś staliśmy się obcymi dla siebie.

KSAWERY: Najzupełniej. Żegnam panią.

LEONORA (z wybuchem). Ach!... a jednak... pan mnie kochałeś.

KSAWERY: Nie wskrzeszajmy przeszłości!

LEONORA: Nie umiałam jej cenić... poznaję teraz...

KSAWERY: Przestrzegam panią.

LEONORA: Nie wierzyłam, oślepiona fałszywym blaskiem. Dziś dopiero widzę, com straciła.

KSAWERY: Nie mów mi pani rzeczy podobnych, nie zdzieraj opasek z ran, dotąd niezabliźnionych!

LEONORA: Jam tak okropnie samą na świecie, w domu, w duszy! Dziś już nikt mnie nie kocha!

KSAWERY (zapominając się): Nikt?!... o nie!

LEONORA (z radością): Nie?...

KSAWERY (oprzytomniawszy): Ewunia.

LEONORA: O, to niedosyć!

KSAWERY (z nienawiścią): On.

LEONORA: On, nie. To był szal chwilowy, gorączka.

Pan jeden tylko... i to już... przeszło; (lękliwie) prawda, że... przeszło?

KSAWERY (poważnie): Odkąd pani zostałaś żoną innego, powinno było minąć i...

LEONORA (z niepokojem): I?

KSAWERY (odwracając głowę ponuro): I... minęło.

LEONORA: Oh!

KSAWERY: Żegnam panią.

LEONORA (w uniesieniu bólu): Bywaj zdrów... mój mężu!

KSAWERY (gwałtownie chwytając jej dłoń): Ah, Leno droga... (oprzytomniawszy, ucina raptem, odręczając ją) kobięto bez sumienia! zalotnico! precz odemnie, precz! (szybko wybiega głębią).

SCENA SZESNASTA.

LEONORA (sama): Zalotnicą! ja!... oh, to zasuwowo, zasuwowo! Los karze mię okropnie!.. i za co? za jakież przewinienie? mój Boże!.. Powiadają, że w złem, które nas spotyka, zawsze jest połowa własnej naszej winy... Cóżem więc ja tak złego zrobiła?.. co?.. (po chwili). Ha, tak zawiniłam... zawiniłam bardzo, bo nie umiałam trzeźwym okiem patrzeć w życie, odróżnić prawdy od kłamstwa... bo byłam płocha, łatwowierna, niewdzięczna!.. Oh, ileż cierpię... i nikt nie uzali się mej doli... nikt! nawet *on*, który jak ja nieszczerliwy!.. który mnie tak kochał... ah, jak kochał!.. Ksawery! przebaczenia, przebaczenia dla obłąkanej, co nie była w stanie zrozumieć twego cichego, pełnego poświęceń uczucia, twej zacnej promiennej duszy, dla tego tylko, że niewymow-

na!.. O ja szalona, szalona, szalona! (płacze, twarz ukryw-
szy w dłoniach, głębią wchodzi Filip z wielkim bukietem,
rad z siebie, uśmiechnięty).

SCENA SIEDMNASTA.

LEONORA, FILIP.

FILIP (nie spostrzegając siedzącej na kozetce): Teraz już wiem, co ona lubi; kwiaty, a potem to co i ja, pocałunki, pieszczoty... niezły gust, jak babcię szanuję. (Spostrzegłszy Leonorę). Ah, otóż ona... jaka zadumana, strapiona... nic dziwnego, Henryk się lampartuje... Moim obowiązkiem pocieszyć opuszczoną... tylko ta nieśmiałość przekłęta!.. Odwagi, Filipku odwagi... audaces fortuna juvat... białogłowy cenią odważnych... zatem (chrząka) hm, hm, do dzieła.

LEONORA (podnosząc głowę): Ah, to pan...

(Filip z początkiem tej sceny bardzo nieśmiały, rozzuchwała się stopniowo).

FILIP (ukrywając bukiet poza siebie): Ośmielam się... czyli... to jest... przychodzę z zapytaniem, czy pani... czy państwo pojedą dziś do panny Ewuni?

LEONORA (bardzo smutna): Dziś... nie, już zbyt późno.

FILIP: Przy tej sposobności ośmielam się... raczej... może pani raczy przyjąć te (wysuwa nagle bukiet) parę kwiatków.

LEONORA (kładzie bukiet na stole): Dziękuję.

FILIP: Pani słaba?

LEONORA: Na migrenę.

FILIP: W takim razie przejażdżka na świeżem powietrzu...

LEONORA: Mąż jest u siebie — może pan przejdzie...

LIFIP (po chwili): Pani często cierpi na migrenę?

LEONORA: Bardzo.

FILIP (ociera czoło; na stronie): Jakoś mi nie idzie... (siada, przysunawszy krzeselko do kozetki). Niektórym pomaga guarana... (Leonora zatapia się w myślach). Przykro mi patrzeć na cierpienia pani... (ostrożnie całuje rękę Leonory, wspartą na krawędzi, Leonora nie uważa tego). Moja babcia leczy się wezykatoryą z chrzanu... (znowu całuje jej dłoń na str.) Czy ona nie czuje... czy udaje by mnie nie zrażać?... Warszawianki są sprytne.

LEONORA: Ach, jakże cierpię...

FILIP: Droga pani.

LEONORA (zmieniając pozycję): Boże, Boże!

FILIP: Gdyby to w mojej mocy, oddałbym pani własną głowę... zdrową.

LEONORA: Oh!

FILIP (ujmując jej rękę): Jakie dłonie rozpalone... a główka? pozwól pani, ja znam się cokolwiek na medycynie, doktor u nas codziennym gościem, babcia często zapada... (chce dotknąć dłonią jej czoła, Leonora się usuwa). Pani za mało używa przechadzki. (Leonora znów popada w zadumę — Filip przysuwa się coraz bliżej). Mam przy sobie wodę portugalską, kupioną po drodze, może pani powącha... (zbliżając flakonik do twarzy Leny, drugą ręką probuje parę razy ująć jej kibić, lecz się cofa — Leonora powąchawszy odsuwa fla-

konik, Filip nalewa trochę wody na jej rękę i prowadzi by sobie czoło zwilżyła, co Lena uskutecznia). A cóż, nie lepiej?

LEONORA: Orzeźwiająca woda.

FILIP: Widzi pani... (z przymileniem) może więcej? (podaje flakonik. Lena bierze flakonik — on ustami dotyka wyciągniętej ręki, Lena chcąc ją cofnąć, upuszcza flakonik).

LEONORA: Oh!

FILIP (schyla się celem podniesienia go z ziemi a przykłonawszy na jedno kolano, szybko w koniuszeczek pantofelka całuje; na stronie): Ah! tom zuch!

LEONORA (wstaje): Ah, co to jest! jak pan śmiesz!.. co znaczy podobne zuchwalstwo!..

FILIP (przerażony): Pani, łaskawa pani. (na str.) Aj, jak mi serce młóci!

LEONORA: Wyjdź pan, wyjdź natychmiast.. to niesłychane!.. w pańskim wieku... Wstydz się, dzieciaku!

FILIP: Pani łaskawa, dobra pani... przebacz, przebacz, sam niewiem jak się to stało... taki śliczny pantofelek... w oczach mi się zaćmiło, zakręciło w głowie... i o! nie-szczęście!

LEONORA: Wyjdź pan.

FILIP: Łaski, przebaczenia!

(wchodzi z lewej strony Łubin).

SCENA OŚMNASTA.

LEONORA, ŁUBIN, FILIP.

ŁUBIN: Co tu za hałas?.. co się stało?... Nieodpowiadacie?.. mówcież...

FILIP: Nic, nic, pani nazbyt jest surową, rozgniewała się na mnie... niesłusznie.

ŁUBIN: Musiałeś coś przeskrobać? Co on zrobił Leno? czego się dopuścił?

LEONORA: Czego dobrze wychowany człowiek niedopuszcza się względem kobiety.

FILIP: Więc względem kogoż się dopuścił? toż w ręce i nogi całuje się kobiety jedynie.

ŁUBIN: Zatem on pocało...

FILIP (z obawą): Pantofelek, nic więcej — jak babcię kocham, nic więcej.

LEONORA: Wyjdź pan.

FILIP: Ah, pani, zlituj się, to bynajmniej nie w złej myśli, uchowaj Boże... tylko ponieważ wszyscy drwią ze mnie, z mojej nieśmiałości, więc ja żeby pokazać... żeby dowieść... przytem brak wprawy... pantofelek... nakoniec namiętność, która usprawiedliwia wszystko... to niby ryk cielęcia wobec beczenia lwa! wyrazy pani męża — w dodatku Janowa zapewniała, że pani nie tylko pierogi lubi... zgoła (na st). Aj, gwałtu, nie wybrnę, nie wybrnę!

ŁUBIN: Co ty pleciesz, co bajasz? ryk cielęcia, pierogi, Janowa, czyś zwarzował!

LEONORA: Zuchwalec! (odchodzi do okna, przez które wygląda na ulicę).

FILIP: Ja! miły Boże! co za niesprawiedliwość toż ja właśnie dążę dopiero... chciałem podnieść flakonik, kiedy niechcący...

ŁUBIN: To nie do wiary, żeby taki niedorostek rozzu-chwalał się do tego stopnia.

FILIP (z zadowoleniem): Więc ja naprawdę jestem zuchwały, no proszę, patrzcież państwo, jak to trudno znać siebie!

ŁUBIN: Napiszę do babki i natychmiast wrócisz do domu.

FILIP: Do domu (na str.) Teraz, kiedy zaczynam nabierać wprawy, ani myślę! (do Łubina). Być może, iż postąpiłem (z naciskiem) zbyt śmiało, przyznaję, zbyt śmiało... lecz zmiłuj się, zamilcz o tem przed babcią, bo widzisz ona pod tym względem posiada całkiem zacofane pojęcia. Nic np. dotąd nie słyszała o stanowisku bezwzględnem, o wyższem sumieniu, o dubeltowej moralności i t. p. awanturach...

ŁUBIN: To też usłyszysz, usłyszysz,

FILIP: Bój się Boga! Zresztą, to nie moja wina; ty sam utrzymywałeś przecie, że kodeksem naszym winno być upodobanie, a twoja żona taka śliczna. Że ożenek to zdanie jednego osła pomnożone przez tysiąc osłów, że opinja to ustępstwo dla motłochu... nie, że ożenek to ustępstwo, zaś opinja to... słowem, że...

ŁUBIN: Gwałtu, co on plecie!

FILIP: Słuchaj, pożyczę ci pieniędzy, boś ty pewno jak zwykle, w potrzebie.

ŁUBIN: Chcesz mię przekupić, żaku, nic z tego, gotuj się do odjazdu.

FILIP (z determinacją, ciszej): Dobrze tedy — jeśli napiszesz do babki, ja powiem twojej żonie, com słyszał o Florze.

ŁUBIN (żywo): Pst, pst, nie napiszę, tylko milcz (podchodząc do Leonory zadumanej przy oknie — spostrzega ko-

pertę zostawioną przez Ksawerego). Co to? urzędowanie na kolei... dla mnie... zkad? co? i któż to mi wyrobił? kto przyniósł?

LEONORA: Ah, to... mój mąż.

ŁUBIN: Ksawery był tu... i nic mi nie wspomnisz? I przyjmujesz go mimo mego zakazu?

LEONORA: Był raz pierwszy.

ŁUBIN: I ostatni, mam nadzieję. Nie myślę rywalizować z przeszłością.

LEONORA: Rywalizować? nie rozumiem.

ŁUBIN: Jeśli sądzi, że pod płaszczykiem ojcostwa, lub (potrząsając papierami) podobnych heroizmów wkręci się w mój dom, to się grubo myli — jam bystrzejszy od niego. Posady nie przyjmę.

LEONORA: Czy to dla odwrócenia uwagi, napadasz na niewinnego? Pan Filip próg ten opuścić już był powinien.

FILIP: Ja pani, ależ jam także niewinny. Junakierya tylko przelotna, bez żadnych zamiarów na przyszłość, bez szerokich planów, bez jutra. Ot tak sobie, na próbę... chwilowe zuchwalstwo, nic więcej.

ŁUBIN (ciszej do żony): To głupi smarkacz, którego przecież na seryo brać niepodobna. Po cóż z nim zrywać koniecznie...

LEONORA (głośno): Obraził mnie.

FILIP (na stronie): Więc ona i pieścizot nie lubi, to wybredna!

ŁUBIN: Nie robi tego więcej, dał słowo. (ciszej) Chłopak uczynny, może się przydać czasem.

LEONORA (z oburzeniem): Ah, tego już za wiele!

(Janowa wchodzi).

JANOWA: Jakiś woźny z teatru przyniósł to... (oddaje paczkę i odchodzi).

ŁUBIN (rozrywa kopertę): Mój dramat?! co to znaczy? (czyta na pierwszej stronie). „Do zwrotu, dla braku sceniczności“.

FILIP: Nie przyjęty?

ŁUBIN (z bólem): Odrzucony! odrzucony!

FILIP: A mówiłeś, że już w próbach?

LEONORA (uderzona myślą): Ah, lecz skoro nie jest przyjęty, zatem studyowanie roli, było kłamstwem, wymysłem dla zamaskowania prawdziwych stosunków. Znajomość owa i dedykacja nie w interesie sztuki zrobione, w jakimże tedy celu, mów, w jakim?

FILIP: Nie wiem, jak babcię kocham.

LEONORA: Mów, mów!

ŁUBIN: Ah, jakżeś okrutną!... w takiej chwili! Odrzucony!

LEONORA: Zgaduję! więc mię zdradzasz! oh to nikczemnie!

ŁUBIN: Co za podejrzliwość! Dedykacja owa nie mniej była w interesie dramatu, tylko dla innej artystki, z innego teatru.

FILIP (z roztrzepaniem): Dla Flory z Eldorado.

„O jasnowłosa,
Córo Heljosa!“

LEONORA: Rozumiem! oh!

ŁUBIN: Widzisz, smyku, do czego doprowadziły twoje głupstwa!

LEONORA: O, to już tylko ostatnia kropla, przepętniająca miarę goryczy!.. Ty sam każdodziennie część zasłony zdzierałeś mi z oczu.

ŁUBIN: Ja?

LEONORA: Pięknieś głosił piękne zasady, aleś postępował wręcz przeciwnie... Bolałeś nad moim położeniem przy człowieku, nie dość prawda ukształconym, lecz z gruntu uczciwym, a sam jaką zgotowałeś mi dolę?... Pierwej otoczona szacunkiem, przywiązaniem, dostatkiem, przyjaciółmi, żyłam swobodna, nieświadoma lepszego losu — zjawiłeś się ty, jak szatan, dmuchnąłeś sarkazmem i pokusą na skromne nasze ustronie i wnet zerwała się burza... mąż w strapieniu, dziecko zaniedbane, dom opuszczony, ja w obłąkaniu! Nakoniec, gdy po wielu krwawych ciosach weszłam pod twój dach, cóż zastałam?

ŁUBIN: I cóż tak strasznego?

FILIP (na stronie): Ciekawym...

LEONORA: Obojętność, przesyt, drwiny z wszystkiego, co człowiek przywykł szanować, jak świętość; zarożumiałość, egoizm, posunięty aż do okrucieństwa, w dodatku płochość, kłamstwo, niedostatek, zdradę.

ŁUBIN: Wyrzucasz mi ubóstwo, toż się za bogacza nie przedstawiałem.

LEONORA: Aleś się mianował poetą, to jest człowiekiem gorącego serca, szlachetnych dążeń, podniosłych idei!.. Przrzekałeś umysł mój ukształcić, serce uzacnić, duszy uka-

zać obszerniejsze widnokreśli. Jak ku światłu kwiat, jam się ku tobie zwróciła... Gdzież twoja wyższość w praktyce życiowej?... *Idealizmem*: zwie się u ciebie lekceważenie nieodzownych potrzeb; *niepodległością*: wstręt do pracy i obowiązków; *prawem*: własne zachcianki; *wyższym poglądem*: brak wszelkich zasad; *fantazyą*: cyniczne wybryki!.. Wszystko depcesz, nic nie miłując!.. Nie tak postępuje człowiek prawdziwie wyższy... tyś zbrukał talent. Nie pieśniarz, lecz cygan jesteś, nieokiełznany cygan, żyjący bez pracy, bez praw, bez obowiązków, bez Boga!

FILIP (na stronie): Daj ją katu, a to się zaperzyła!

LEONORA: Z takim usposobieniem nie należy się żenić. Nie godzien rodziny, kto dla niej nie umie się poświęcić.

ŁUBIN: Na honor z ciebie artystka nie lada. Co za rysunek! jaki gorący koloryt, jakie światłocienie! Szkoda tylko, że z tego obrazu wyszedłem od dyabła czarniejszy.

LEONORA: Twoje szyderstwo mnie nie dotknie, za wiele już przecierpiałam!

ŁUBIN: Moja droga, dla kamerdynera niema bohatera. Na te sążniste tyrady odpowiem jedynie, że nazbyt jesteś egzaltowana, skutkiem czego popadasz w krańcowość. Jak poprzednio uroiłaś sobie niebywałe we mnie doskonałości, tak teraz odzierasze ze wszystkiego. A ja znowu tak zły nie jestem, trochę za lekki może i nie dość systematyczny, ot i wszystko. Że zaś w moim wieku nie łatwo się odmienić — nałogi wyrobiły mi drugą naturę — więc przyjmij rzeczy jak są i idźmy zgodnie razem, skorośmy się złączyli.

LEONORA (stanowczo): Nie pójdziemy razem!

ŁUBIN: Hę? co?

LEONORA (mocniej): Nie pójdziemy razem!

FILIP (na stronie): Może ona zakochała się we mnie, w mojej odwadze... bom chwał co się zowie!

LEONORA: Pójadę do ciotki i tam wraz z Ewunią i Janową żyć cicho będziemy.

ŁUBIN: Żartujesz!... Mogłabyś mię porzucić, Leno, żyć sama!

LEONORA: Z tobą stokroć gorsze męki!

ŁUBIN: Utracić ciebie, to niepodobna! tyś się nie za-
stanowiła, Leno!...

FILIP (ciszej do Łubina): O cóż ci chodzi, gustujesz
przecie we Florce?

ŁUBIN: Głupis, setki Florek nie zastąpią jednej takiej
jak ona kobiety, (do Leny): Błagam cię Leno, zastanów się...
Co świat na to powie?

FILIP: Opinia? jeden baran pomnożony... nie, jako?...
eh, zgola że tem się gardził!

ŁUBIN: Słuchaj, sprowadzimy Ewunię, przyjmę urzędo-
wanie, wezmę się do pracy, zerwę z przeszłością.

LEONORA: Za późno, za późno.

ŁUBIN: Bałamutną, nieporządną naturę ujmę w karby
obowiązków... przysięgam!

LEONORA: Choćbyś chciał, nie wytrwasz, brak ci cha-
akteru.

ŁUBIN: Litości, przebaczenia, Leno!

LEONORA (śmieje się ironicznie): Ha, ha, ha, żądasz
przebaczenia! ha, ha! Czy przebaczyłbyś dyamentowi, który-
by po bliższej uwadze, okazał się prostem szkłem? Odrzu-

ciłbyś go precz, żałując jedynie, żeś nad wartość przepłacił.
Podobnie ja zawiodłam się na tobie!.. Nie rozumiem przeba-
czenia, znam tylko rozczarowanie.

ŁUBIN: Surową jesteś, każdy zbłądzić może.

LEONORA: Zbłądzić — lecz nie błędzić ustawicznie.

ŁUBIN: Jednak mimo wszystkich moich wad, ja cię
kocham, kocham, kocham, Leno ubóstwiona!

FILIP (na stronie): Szacowne zdrowie nikt się nie do-
wie... Jako smakujesz...

LEONORA: Już mnie nie złudzi twój głos melodyjny, szu-
mne parodoksy, ani profil grecki... Zabita wiara nie zmar-
twychstaje a z nią i miłość przepada. Żegnaj więc.

ŁUBIN: O nie! nie! po tysiąckroć nie!

LEONORA: Żegnaj, (z litością) biedny cyganie! (odda-
ła się zwolna).

ŁUBIN: Ha! więc ja istotnie upadłem tak nisko!.. tak
nisko!

FILIP (na stronie): Jak babcię kocham, już wiem co
ona lubi! Ona mężów w trąbkę puszczać lubi!